NUMER 38. DNIA 20-go WRZEŚNIA 1903 ROKU ROK XI.

# TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

## Henryk Siemiradzki

### 1843 — 1902.

### Z powodu przeniesienia zwłok Mistrza na Skałkę.

Mija nie więcej nad rok jeden od chwili zgonu H. Siemiradzkiego (25. sierpnia 1902), a naród, odwdzięczając się za wszystko, co od niego otrzymał, przenosi zwłoki Mistrza do mauzoleum narodowego, na Skałkę. Spoczną tam one obok najzasłużeńszych i najbardziej umiłowanych. I słusznie należy się tym popiołom miejsce wiecznego wypoczynku, dla wybrańców tylko przeznaczone. Cokolwiek bowiem sądzićbyśmy chcieli o Siemiradzkim z dzisiejszego punktu zapatrywań na sztukę, fakt pozostanie faktem, że wśród tych, którzy artyzmowi polskiemu zjednali — więcej nawet: wywalczyli podziw obcych, Siemiradzki stoi jeśli nie na czele, to bądźcobądź w pierwszym szeregu.

Sam nie przeczuwał może za życia, iż naród zechce go mieć na zawsze tak blisko swego serca. Poszedłszy na dobrowolne wygnanie, zaledwie od czasu do czasu gościł w Ojczyźnie. Dla czego?

Dusza artysty ma swoje osobne prawo, wdzierać się w nie byłoby profanacją. Zresztą dusza ta nigdy w nim nie zeszła ze szlaków miłości ojczyzny. Jego willa w Rzymie była ogniskiem tamtejszej Polonii i pragnąćby można, by wszyscy w kraju tak gorąco odczuwali dolę swego narodu, tak bacznie śledzili jego sprawy, tak żywo zajmowali się każdą sprawą, pozostającą w jakiemkolwiek z Polską związku, jak ów artysta polski, rzucony daleko od rodzinnej gleby, „prawdziwy rozpustnik piękna, nienasycony w upajaniu się blaskiem Południa, czarem piniowych gajów Kampanii i błękitnej tafli morza“. Wśród odurzeń twórczości artystycznej, na obcych nam opartej pierwiastkach, zachował jednak całą świadomość narodową i jeśli sława sprawiała mu wogóle jaką rozkosz, to jedynie dla tego, że widział, jak splendor jej spływa na naród. W ambitnej bowiem drużynie Apollinowej stanowił niesłychanie rzadki wyjątek, posiadał dar prawdziwej skromności — nagrodę znajdując dostateczną w uciechach, jakie daje sztuka przez samo jej zdobycie i posiadanie.

A dodajmy co może najdziwniejsze z wielu rzeczy dziwnych składających się na postać Siemiradzkiego, że ten Polak szczery i żarliwy był synem rosyjskiego oficera, awansowanego później na generała, do gimnazjum chodził w Charkowie, szlify artystyczne zdobył w Akademji w Petersburgu. Musiał snać tkwić już w jego duszy zaród upartej polskości, owo niczem nie dające się zetrzeć piętno lackiego sakramentu, skoro mimo wszelkich nieprzyjaznych wpływów —

pozostał do końca życia Polakiem. A — kto wie może właśnie dla tego, aby uniknąć ciągłej walki uczuć polskich ze sprzecznością otoczenia, wolał raczej pójść na obczyznę?

Od r. 1873, w kórym pojął Warszawiankę p. Marję Pruszyńską za żonę, przebywał stale w Rzymie. Pracownia młodego artysty zasłynęła rychło. Znawcy stawali przed jego dziełami olśnieni. Siemiradzki ukazał im zupełnie nowe strony natury włoskiej — tony barw i smugi świetlane, których przedtem nie znano, a które wyłaniały się z tła prawdy, rzeczywistości, nie zaś z fantastycznego jej wypaczenia. Równocześnie studja odległych wieków i klasycznej kultury sprawiły swoje: artysta posiadł znajomość życia, co przepadło, jak kamień w wodę, wyczarował jego tajniki, wskrzesił je przedziwną mocą swej intuicji.

Z tych studjów wzięły swój początek „Świeczniki Nerona", potężne malowidło, dotąd jedyne w swoim rodzaju. Potężne też było wrażenie wywołane tem płótnem, tem potężniejsze, że instynkt patrzących odgadywał w nim alegorję przejrzystą... Jako dzieło sztuki przedstawiają „Świeczniki" niezwykle zajmujący obraz pasowania się genialnego talentu z sobą samym. Całkiem nowe efekty kolorystyczne, silnie odczute tchnienie dawnych wieków, a obok tego pewien — jakby nazwać go można — estetyzm, widoczna obawa, by przypadkiem nie naruszyć utartych przykazań piękna, nie zlały się jeszcze w harmonijną całość z ideą, jakby gwałtem wtłoczoną w orgję barw i linij.

Na „Świecznikach" myśliciel stoczył bój na śmierć i życie z hołdownikiem piękna, poznał od razu niedostateczność sił swych. Cofnął się więc, by już nigdy odtąd nie bróżdzić... Wszystkie dalsze kreacje Siemiradzkiego świadczą o zerwaniu z systemem filozofowania na płótnie. „Wazon czy kobieta", „Taniec wśród mieczów", „Fryne", a choćby nawet „Dirce", — mimo pozorów pewnej dramatyczności przykuwają do siebie widza przedewszystkiem poezją kolorytu, subtelnościami pędzla, a nie zestosunkowania duszy i świata zewnętrznego.

Powiedziano o Siemiradzkim, że miękkość i pogodę dzieł swych zawdzięczał sobie, jako człowiekowi, swej duszy zawsze pogodnej i dobremu a szczeremu sercu. W istocie też porywał nie tylko jako artysta, lecz także w życiu codziennem, w którem unikał troskliwie wszystkiego, czem tak często mistrze, znacznie niższego nawet rzędu grzeszą, pragnąc okazać swą wyższość. Pełen prostoty, uprzejmy dla każdego, nigdy nie próbował przyćmić sobą innych. Pycha, jak już wspomniano, była dlań uczuciem niezrozumiałem. Kiedy podczas jubileuszu Kraszewskiego ofiarował miastu Krakowu jako zaczątek Muzeum „Świeczniki" i kiedy rozentuzjazmowane tłumy zaskoczyły go wspaniałą owacją, on powiódł je przed dom Matejki, aby hołd złożyć twórcy „Kazania Skargi".

Ten powszechnie znany epizod wymownie charakteryzuje wielkoduszność Siemiradzkiego. Sprawdziło się w nim niewątpliwie, że istotnej wielkości towarzyszy — szlachetność. W nim złączyły się obie, a połączenie takie daje chyba dostateczne prawo do zajęcia miejsca na Skałce.

*S—w.*

EDMUND LIBAŃSKI.

# Polonia w Danji.

(3)

Pytałem następnie ks. Ortveda, czy nie możnaby temu zapobiedz?

Otóż gdy dochodzi to do jego wiadomości, zmusza oszusta do rzetelności, niestety jednak nie zawsze i nie wszędzie interwenjować może. Sam jeden na 4000 robotników nie podoła pracy, a największą klęską jest fakt, iż ten lud polski, uciekający po zarobek aż za morze, nie umie ani czytać, ani pisać, ani rachować.

— Takie wasze szkolnictwo — mówił ze smutkiem, zacny kapłan — idą w świat analfabeci, gdyby nie to, nie daliby się oszu-

kać i dali radę wszędzie. Biedne dzieci! — westchnął i umilkł...

— Jakież mają warunki pracy? spytałem.

— Objaśnię panu, ale czas już na kolej — zresztą sam pan ich wypyta na miejscu w koloniach.

Kwadrans później byliśmy już w pociągu — wraz z nami jechało sporo dziewcząt, wracających do miejsc swego pobytu, jedne smutne, zadumane, inne głośno wesołe, jak gdyby chciały zagłuszyć tęsknotę...

Pytały, kiedy ks. Ortved do ich folwarków zawita — dowiadywały się u mnie, czy to prawda, że takie powodzie nawiedziły ich biedny kraj, inne wyrzekały na ciężką dolę.

— Haruje się cały tydzień — mówi jedna — a niedziela ot tak... mija, ani kościoła ani zabawy...

— No... no... — pocieszał ks. Ortved — będę u was w tym tygodniu.

— A dziś gdzie? — pytały dziewczęta.

— Dziś i jutro w Marienbergu, tam dużo waszych, aż na pięciu folwarkach.

— Tam dwie z naszej wsi — rzekła nieśmiało jedna z robotnic, bardzo blada, znużonym głosem.

— Czy nie chora ta towarzyszka? — spytałem.

— Tak — potwierdziły dziewczęta — przechorowała cały tydzień. dali jej tam lekarstwa; ale musi już iść do roboty.

— Niema czasu na słabowanie — odrzekła inna, — za to nie płacą...

Wypytywałem je o sposób obchodzenia się z niemi i potwierdziły wszystkie, że w Danji bardziej szanują ludzi, niż u nas.

Jedna z nich, zajęta we dworze, przyznała się, że nie zarabia więcej, niż w domu, ale państwo obchodzą się bardzo dobrze, mówią grzecznie, nie łają i nie przeklinają, jak w domu...

— I panna nie powróci do kraju? — zapytałem.

— Nie wiem, odrzekła, jestem już dwa roki...

— Pewnie się tu wyda — zaśmiały się dziewczęta.

— Dziewczyna zarumieniła się, mówiąc szybko:

— Nie, za mąż tu nie wyjdę, jak uskładam sobie co przez parę lat, wrócę do Krakowa...

— Nakskow, *stig-ut*, — zawołał konduktor!

Słowa: — bądźcie zdrowi! ze strony naszej, szczere życzenie „Niech Pan Bóg prowadzi“ z ust polskiej gromadki i już rozstaliśmy się...

— A teraz na wóz! — zawołał wesoło ks. Ortved.

Niebawem jechaliśmy małym truchtem po doskonałej drodze do folwarków z kolonjami polskiemi. Jak daleko oko sięgać mogło, ścieliły się złote łany, tu i owdzie niewielkie lasy, czasami rozpościerał się śliczny szmaragdowy płat łąki a wśród tego pogodnego cichego krajobrazu jaśniały piękne wesołe domki, przytulone do sadów, — domki, po których ścianach wszędzie pięły się bluszcz i róże.

Mijaliśmy nieustannie pędzących cyklistów, cyklistki i ze zdumieniem zauważyłem, że prawie przy każdym domku, to jest przy chacie duńskiego wieśniaka, znajdował się rower. — Ks. Ortved objaśniał, że w każdym domu rower należy do sprzętów koniecznych.

Jadą matki i córki i dzieci, jadą synowie i jest to w istocie charakterystyczne, gdyż spotykanie całych kalwakat na rowerach, tak na gościńcach, jak i w miastach Danji jest rzeczą powszednią.

Po drodze zatrzymaliśmy się kilka razy, odwiedzając mieszkania robotników polskich, właściwie mówiąc — robotnic. W jednem miejscu dziewczęta przygotowywały wieczerzę, w drugiem nuciły a parobczak wygrywał na skrzypeczkach. Pracują one bardzo ciężko, albowiem od 5-ej rano do 7-ej wieczór, mając tylko godzinną przerwę na obiad a po pół godzinie na śniadanie i podwieczorek, to też wieczorem są bardzo umęczone.

Za taką pracę otrzymują dziennie koronę duńską, zaś w czasie żniw podczas zbiorów koronę i 20 örów (czyli: jedna korona 56 hal.). Otrzymują również mieszkanie, opał, światło, dobre łóżka, oprócz tego 25 funtów kartofli na tydzień. Poza tem, same muszą dbać o wikt, składają się razem a umyślnie wyznaczona gospodyni przyrządza im raz na dzień ciepłą strawę.

— Na jak długo zgodziłyście się na robotę? — zapytałem.

— Jak długo będzie robota, — w grudniu wrócimy do domu...

Po dwugodzinnej jeździe, przybyłem z ks. Ortvedem na wielki folwark do Marienbergu. Przed wrotami obszernego budynku oczekiwały już rzesze robotnicze polskiego księdza, który w tym roku po raz pierwszy miał do nich zawitać! Wszystko hoże, zdrowe, aż miło patrzeć! — gdyby

nie dziwny cień smutku w oczach, można by było przypuścić, że jest im bardzo dobrze.

Było tam kilku piśmiennych i czytających; opowiadali, że otrzymują listy z domu i piszą bardzo często, że schodzą się wieczorami, zawsze jedna lub druga czyta książeczki, że praca ciężka, ale jakoś idzie, tylko niema nijakiej wesołości...

Wnętrze wielkiej, schludnej izby przybrano tymczasem świątecznie — w kąciku wisiały skrzypce. Wskazując na nie, zapytałem: a to co, nie macie muzyki?

— Była, ale parobczak ten, co grał, pojechał — A może pan grajom?

— Dobrze, zagram wam. — Wyrzępoliłem kilka krakowiaków, mazurów, i „Jeszcze Polska nie zginęła!“ Wszyscy rozradowali się bardzo, a kilka dorodnych mazurek zaczęło wołać: „ano potańcujmy!“

Wtem wszedł ks. Ortved w ornacie, za nim chłopak z kadzielnicą a gdy stanęli przed improwizowanym ołtarzem, pochyliły się dziesiątki głów i ugięły kolana...

— O Jezusieńku! — szepnęła jedna — cztery miesięcy nie słyszałam bożego słowa...

Widok był niezmiernie wzruszający, dziesiątki dziewcząt, strojnie ubranych, kilkanastu młodców, kilku starców z obliczami, jak gdyby martwemi od wielkiego bolu, z temi obliczami naszego chłopa, na których twarda, gorzka dola ryje głębokie fałdy cierpień i żalu. Zachodzące słońce całuje pochylone głowy, rzuca złote plamy na ściany i w wielkiej tej przestrzeni, wypełniającej się zwolna wonią kadzideł, staje głęboka uroczysta cisza...

Kapłan zakończył obrzędy i rozpoczyna się litanja!... Chór odpowiada: „Wybaw nas Panie“... „zmiłuj się nad nami“ — płynie prośba przerywana łkaniem i nabrzmiała łzami.

Rozżaliły się ku Bogu te biedne serca polskie na obczyźnie, dziewczęta rozszlochały się, załamując spracowane dłonie, starsi tłumią ból... a przez twarz ich przelatuje kurcz; tłumiony odblask żalu, tłukącego się w piersiach.

Kapłan rozpoczął kazanie; mówił po polsku, powoli, dobitnie i zwolna uciszały się łzy. Zasłuchana gromada przejmowała się boskiem proroctwem Zbawiciela i Jego wielką miłością dla maluczkich, głodnych, łaknących i cierpiących...

Mijały chwile skupienia; świąteczny nastrój ulatywał; niebawem kasarnia robotnic przybrała zwykły wygląd powszedniej pracy. Płacz ulżył najemnikom na obcej ziemi, poczęli szykować się do wieczerzy i spoczynku.

— No jakżeż? — zapytał mnie ks. Ortved — widzi Pan nieźle im tu... lepiej, niż w domu...

— A czemuż wasi robotnicy nie chcą tu pracować na roli? — zapytałem znacząco.

— Rozumiem Pana — tu spojrzał na mnie przenikliwie — to ta sama historya, dla czego i wasi uciekają z kraju!

— Wiem — odparłem — jesteście bardziej kulturalni, stopa życiowa robotnika u was wyższa, dziewczyna duńska nie będzie za koronę pracowała, jak wół roboczy, godzin dwanaście.

— No, nie taka to ciężka praca — łagodził ks. Ortved — u was wyzysk ten straszniejszy!

Milcząc... musiałem to przyznać, niestety!...

Ach tak! — nie uciekają z kraju dla rozrywki; dużo... dużo wdzięczności należy się ks. Ortvedowi, iż od czasu do czasu krzepi te biedne dusze, pociesza, dopomaga i skupia...

Rok rocznie fala żywych rąk, wyrzucana nędzą z kraju rodzinnego, znajduje w Danji trochę bodaj pogodniejszej pracy, otoczenie bardziej kulturalne, a wracając na zimę między swoich, budzi, wzmacnia ochotę do jakiejś bardziej ludzkiej egzystencji.

A wart jest lud nasz lepszej doli i zdobędzie ją, bo jest niezniszczalną siłą; jakkolwiek siłą, nieświadomą jeszcze swej potęgi.

Potęga to żywiołowa... i przyjdzie czas, gdy od jej naporu popękają pęta ciemnoty i niewoli...

A gdy pękną i opadną... wstanie lud — naród, wolny... zjednoczony!...

WACŁAW SIEROSZEWSKI

# POWRÓT.

POWIEŚĆ.

(12)

Obudzili się nazajutrz, gdy już słońce dobrze przygrzało. Złoto-błękitna rzeka mknęła tuż obok nich gładka, jak zwierciadło. Na niebie chmur nie było ani śladu. Za mielizną, na której ugrzęźli, za wielką, bystrą łachą wznosiło się wysokie, rude, skałubiaste urwisko, omszone, porosłe krzewami w szczelinach, z modrzewiowym lasem na czubie, jeszcze mokre i ociekłe od wczorajszego dżdżu, jeszcze ciemne od wilgoci i cieniów wczesnego dnia.

Z wielkim trudem ściągnęli łódź z piachów. Zabłoceni, zmordowani przeprawili się wreszcie przez łachę i rozłożyli obozem nawązkim dziarstwowym gzemsie u wody popod samym wiszarem.

Spirydion rozpalił ogień i nastawił kotły. Koźma z Guranem szykowali szkutę do dalszej drogi, poprawiali wczorajsze uszkodzenia i przeciągnęli „pólkę“ holowniczą przez środek masztu. Kupcy wygrzewali się na słońcu i spacerowali boso wzdłuż brzegu po miałkich piaskach. Oryle suszyli odzież u ogniska i żartowali wesoło z wczorajszej przygody.

— Beknął kupiec... całe z siebie wypuścił powietrze! A ja — nic! — opowiadał poważnie Indor. — Dopiero jak mi Obuch na głowie usiadł, dałem znak życia.

— Ugryzłeś go? — spytał Starszy Żygan.

— Mam zęby plombowane złotem, muszę je oszczędzać. Kopnąłem jeno Niemca w żołądek.

Niemiec uśmiechał się zmieszany i uszczęśliwiony zwróconą nań uwagą.

— Nic nie czułem!...

— Ba, wszyscyście martwi byli od strachu! mruknął Majdaniarz.

— Co, możeś ty ożył? — spytał przeciągle Indor. — Ja bo, przyznaję, zawsze przekładam wódkę nad wodę...

— Ha, ha!... gdyby spirytus w Lenie płynął, dawnobyś utonął! — rozśmiał się Obuch.

— Wszystkim by się teraz przydało!

Hej Damianie, Damianie!
Zbliż się do nas, kochanie...

śpiewał Indor, zabawnie kiwając na gospodarza palcem. Ten podszedł uśmiechnięty, zadowolony.

— Co chłopcy, machniemy dzisiaj? A jaki brzeg cudny: miękki, równy, jak obstalowany... Raz luli moja malina!...

— A nie zostało tam czego od wczoraj?... Chmiel dokucza... We łbie trzeszczy... Sił nie stanie!... Nie pociągniemy...

— Ho, ho! Nic z tego!... Basta!... Trzy dni ucztowaliście... Nadszedł, myślę, czas pomiarkowania!...

— A co, mówiłem: Faraon! Wywiózł nas na pustynię i zhardział...

Ej Damianie, Damianie,
Nie patrz na nas przez ramię...

Będziemy jeszcze mijali miasto Olokmińsk i łzy tam gorzkie wylejesz... Lepiej daj po półkwaterku...

— Dwadzieścia wiorst dwie doby płyniemy, a oni jeszcze wódki za to proszą!... — skarżył się Damian Karskiemu, który właśnie podszedł do ogniska.

— Cóż to? Nie znasz starego obyczaju: jedno skończyć, nim drugie zaczniesz... Nie ruszymy, dopóki wszystkiego nie wypijemy... Zdradziłeś się, że masz... dawaj! — wołał Indor...

— Taka to droga wodna! — biadał Damian. — Wczoraj omałośmy przez nich nie utonęli, a dziś gdzie nocować będziemy, nie wiadomo... A pan pytał, kiedy będziemy na Witymie... Czy to z nimi można przewidzieć, oni gorsi, niż niepogoda!...

— Nie skarż się, nie skarż!... Ludzi masz dość!... Wódki daj trochę, aby im w kościach przetarło się i pójdą...

— Pójdziemy, Damianie, aż pólka zatrzeszczy! — obiecywali chórem robotnicy.

Rad nie rad przyniósł gąsiorek i znów zaczęła się pijatyka.

Karski cofnął się do żony, z trwogą wyglądającej z budki na hałasujących pod skałą ludzi.

— Wiesz, Stefanie, że to przechodzi w katuszę! — mówiła.

— Pewnie dziś się skończy; wypijają resztę. Więcej dostać niema gdzie, ten brzeg zupełnie niezamieszkany. Wszystkie wsie po tamtej stronie... — odpowiedział Karski, wskazując na brzeg przeciwny, gdzie za smugami zielonych ostrowi, na liliowych podgórzach wysokiego lądu kłębiły się miejscami białe dymy i błyskały niewyraźnie szyby, czy krzyże w świetle słońca.

Nurt wartki, potoczysty, rozlany jak morze, oddzielał ich od tych sadyb. Miasta wcale już widać nie było, znikło za potężnym zakrętem.

Po obiedzie oryle zabrali się do roboty nadspodziewanie ochoczo. Nałożyli przywiezione z miasta śle z kory brzozowej na piersi, i zaciąwszy je w rząd za koniec pólki, ruszyli sporym krokiem. Łódź, kierowana wprawną ręką Gurana, odbiegła daleko od brzegu na głębię i poszła chyżo przeciw prądowi.

— Najedli się... ciągną!... — mówił z zadowoleniem Damian.

— Niech się pan już niczego nie boi! — gadał Guran do Karskiego. — W samą porę przyjedziemy... Tu już nic nie przeszkodzi... Chyba zdarzy się, że niedźwiedź wyskoczy!...

— Masz tobie! — jęknęła pani Anna, chwytając na rękę Olesia, który bawił się u jej nóg na pomoście sterniczym.

— Niech się pani nie boi! — uspokajał ją Guran — on tu do łodzi nie przyjdzie... Sam w strachu wielkim po ziemi zmykać będzie... Pamiętam, raz wpadł nam pod pólkę, to z półtorej wiorsty przecwałował z rykiem, jak baran. Oryle uciekali przed nim bez opamiętania, a on gnał też bez pamięci... Co nawróci w las i na sznur wpadnie — wrzaśnie w niebogłosy, aż góry jękną i znów ku wodzie. A tam statek sunie z wielkim bulkotem. Więc znów mknął przed siebie. Lecieliśmy tak, niby parostatek, zanim oryle nie poodczepiali śli i w bok nie umknęli... Niedźwiedź poszorował dalej brzegiem, jak kula... Ta była strata, że szkuta, puszczona samopas, o mało nie rozbiła się, bo ją wartem poniosło na rampy...

Karski nie mógł powstrzymać uśmiechu, wywołanego dziwną pociechą sternika. Ale zgorszona pani Anna wzięła natychmiast syna na ręce i zamknęła się w swej budce. Daremnie Oleś opierał się i wołał „lu-lu-lu“, naśladując szemrzące nurty. Matka podejrzliwie spoglądała na malownicze skały, ostro wznoszące się ku pogodnemu niebu, zwichrzone lasami czoła, na cieniste jary, pełne kędzierzawej zieleni, zbiegające ku samej wodzie. Zwykle potok szumiał na dnie jaru wśród dzikich złomów, a żółte smugi piasków oddzielały ciemny bór i ciemne oramia urwiska od ciemnego odbicia ich w wodzie. (C. d. n.)

Iwan Wazow.

# BUŁGARKA

(4)

EPIZOD HISTORYCZNY

Przełożyła z bułgarskiego Józefa z Zagórowskich Anc.

— Czy naprawdę? Matko, dziękuję ci, tyś dobra kobieta! — i rozczulony do łez młodzieniec, pochylił się i pocałował spracowaną rękę, która trzymała dziecię.

— Ludzie są teraz przerażeni, gotowi mnie spalić żywcem, gdy się dowiedzą, mówiła wieśniaczka, lecz jakżebym cię mogła tu zostawić, nie możesz uciekać, czerkiesi cię złapią — niech ich Bóg skarze — i we wsi są oni. Na co wam to było potrzeba, chłopcy? — Czy to tak łatwo zburzyć to marne państwo!... Wybili was, jak kurczęta. Lecz ty nie masz już siły iść pod górę!

I przerzuciła strzelbę w prawą rękę, a lewą chwyciła go pod ramię. Zagłębiali się w dębowy

las. Pomiędzy drzewami, niebo na wschodzie bielało, wyraźnie było słychać pianie kogutów w Czełopieku, gwiazdy na niebie bladły. Świtać już zaczęło, a oni byli jeszcze pół godziny drogi do wsi, idąc zwykłym krokiem, lecz tak, jak szedł powstaniec i za dwie godziny dojść nie mogli. Wieśniaczka się zmartwiła, byłaby go z sobą uniosła. On się obejrzał.

— Świta już, stryjno, odezwał się.

— Źle, nie staniemy na czas, szepnęła kobieta.

Uszli jeszcze kawałek drogi. Z przeciwka dochodziły już głosy ludzkie. Wieśniaczka zatrzymała się.

— Tak być nie może, chłopcze, trzeba coś innego obmyśleć.

— Co myślicie, stryjno? — zapytał młodzieniec, który w tej nieznajomej widział swoją matkę, swoją zbawczynię, swoją opatrzność!

— Ukryj się w lesie do wieczora. Jak się zmierzchnie, ja cię odszukam — tu, znowu na tem miejscu — i ukryję cię w moim domu.

Młodzieniec uznał to za najlepsze. Wieśniaczka oddała mu strzelbę. Pożegnali się.

Ilica wtedy dotknęła się dziecięcia, zapłakała:

— O dziecino! toż ono umarło, rączki ma jak lód!

Powstaniec zatrzymał się spiorunowany. Boleść wieśniaczki wzruszyła go, chciał ją pocieszyć, lecz nie mógł słowa wymówić. Widział on teraz, że nie może oczekiwać dalszej pomocy od tej szlachetnej kobiety, której dusza była rozdartą wielkiem osobistem nieszczęściem.

— O dziecię! moje drogie dziecię!... łkała biedna, wpatrując się w twarzyczkę wnuczka.

Powstaniec wzruszony, beznadziejny, zagłębił się w las. A łkający głos kobiety wołał za nim:

— Chłopcze, skryj się dobrze. Wieczorem — niech cię tu odnajdę...

I znikła w gęstwinie.

VI.

Tego ranka majowe słońce wychyliło się wesołe, czyste, po kilku dniach chmurnych i dżdżystych. Piękna podłużna dolina, zaczynająca się u stóp Szyszmanowej skały, ozdobiona wiosenną, majową zielenią, przecięta srebrną wstęgą rzeki, kąpała się w promieniach słońca. Tu pod Szyszmanową skałą, rzeka kończy swoją odysseę przejść przez ciasne wąwozy i niezliczone górskie zakręty, już to pomiędzy stromemi urwiskami, pokrytemi dębem i bukiem, już to pod wielkiemi pochylonemi skałami, podziurawionemi mnóstwem pieczar, piętrzącemi się w fantastyczne ramki i obeliski, urągając sile żywiołów i czasu.

Zaledwie słońce pojawiło się na horyzoncie, gdy na drodze ukazała się konnica turecka, a za nią wśród zboża masa piechoty, której końca nie było widać. Konnica i piechota wkrótce doszły do Iskru i stanęły... Regularna piechota składała się z około trzystu ludzi; przed nią maszerowali tureccy baszybozucy, uzbrojeni w rozmaitą broń, a reszta, stanowiąca większą część, byli to czerkiesi, także rozmaicie uzbrojeni. Po kilku chwilach, konnica przepuściła czerkiesów, zatrzymując się sama na boku. (Dok. nast.)

## ZAGADKI LITERACKIE.

(2)

Beksa Staś = Stan. Bartoszewicz.
Bęczkowska Grot Wanda = Władysławowa Korotyńska.
Bocian w Bachorzu = Zygmunt Wierzbicki.
Buraczek Maciej = Franc. Bohuszewicz.
Ciechomski Leon = Tytus Zienkowicz.
Cim Albert = A. Cimborowski.
Clarus = Adolf Neuwert Nowaczyński.
Conrad Joseph = Konrad Korzeniowski.
Czaszka Tomasz = Tadeusz Rittner.
D. Mol. = Marja z Młodnickich Wolska.
Dlewski W. = Witold Godlewski.
Dołęga Henryk = Aleks. Świętochowski.
Don Kiszot = Antoni Lange.
Dubienko Stanisław — Stan. Kowalski.
El. = Kaź. Laskowski.
Emde = Michał Dworakowski. (C. d. n.)

# Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Album 1830—1.* Zeszyt 1. Lwów. Nakładcy i wydawcy: Ksawery Deskur i Jan Soleski. 1903. Niedawno ukazała się księga pamiątkowa z r. 1863—4, przypominająca narodowi polskiemu szczytne hasło ówczesnych powstańców, obłąkanych „świętym nierozumem“: „Za wolność naszą i waszą“. Teraz znów mam przed sobą „Album powstania Listopadowego“ t. j. „Wizerunki z autografami i życiorysami osób, które w roku 1830—31 wybitniejszą odegrały rolę“.

Album z 1830—1 r. — odtwarzające kolekcję wizerunków ze znanego dzieła Straszewicza — przedstawia się na zewnątrz bardzo estetycznie. Portrety jakby żywe:

...I oto jawią się przed naszemi oczyma karni rycerze, wielcy wojownicy, potężni jak krzyk gromu. Marsowe ich czoła każą nam być gotowymi do boju — oczy, w których jest grom i błyskawice, każą rozpostrzeć skrzydła i być gotowymi do lotu Czyny ich wołają nas do nowych czynów — i czekamy tylko, kiedy nadejdzie chwila... Dusza się rwie i rzuca straszne Bogu pytanie: kiedy?!

...to będzie wczas rano,
nim liście zaczną drżeć;
to będzie, to będzie wczas rano:
zanim ptacy zaświergocą swój świt,
cyt, cyt, cyt, cyt, cyt, cyt!...

A więc będzie... Jeno duchy musimy, tężyć iżby nie padły w boju.

Tyle myśli i uczuć nasuwa się przy tem albumie, tyle wielkich dreszczów...

Wdzięczność więc wydawcom, którzy rewolucję z r. 1830—1 nam przypominają. Bowiem „duch, wieczny rewolucjonista“, może się w niejednym uśpionym człeku obudzić — gdy będzie widział przed sobą tych ludzi, którzy za ojców jego krew przelewali. *F. G.*

*Stanisław Witkiewicz.* Aleksander Gierymski, Lwów. Nakładem Towarzystwa wydawniczego 1903. Książka ta, napisana z wszystkiemi zaletami pióra znakomitego krytyka, wypełnia dotkliwą lukę w dziejach naszego współczesnego malarstwa. Jest to szerokie malowidło, w którem na tle epoki autor przedstawia nam kolejne fazy rozwojowe, psychiczne i artystyczne, jakim ulegała genjalna organizacja jednego z naszych największych malarzy rodzajowych. Na każdym kroku pełno głębokich uwag znaczenia ogólnego, pełno osobistych wspomnień z czasów wspólnych walk o uznanie dla rodzącego się naszego malarstwa polskiego i o chleb powszedni. Zamało do tej pory jeszcze znany i uznany brat Maksa Gierymskiego, wielki artysta i nieszczęśliwy, tysiącem sprzeczności szarpany człowiek, doczekał się w tej książce godnego pomnika, jakim w malarstwie naszem tylko niewielu jego rówieśników poszczycić się może. Książka Witkiewicza może służyć za przykład, jak się powinno pisać o sztuce. Żadnych ciasnych formułek, ani uprzedzeń, a tylko wszechstronne, na gruntownej wiedzy oparte, odczucie, wszędzie umiłowanie gorące sztuki i kult zbożny dla artysty. „Trzeba z historji wydobyć, nietylko zestawienie dat, imion i wydarzeń, ale i wnioski o prawach, któreby nauczyły uświadamiać wartość społeczną każnego idealnego porywu jednostki, któreby rozrywały ciasne poglądy na zadania społecznego bytu, powstrzymały od masowych niepokojów i zwątpień i ugruntowały niezachwianą wiarę w niezłomną siłę ludzkiej myśli“. *A. C.*

SZTUKA. *Z wystawy obrazów* (plac Św. Ducha). Spotykamy tu przeszło 70 obrazów, wśród tego kilka rzeźb. Przedewszystkiem wymienić należy rzeczy pozostałe z „Salonu okrężnego“, więc poprzednio już znane i na tem miejscu w swoim czasie omówione. Są to najpierw cztery portrety Augustynowicza, krajobrazy Beera, M. Harasimowicza i Małachowskiego, dalej „Cyganka“ Masłowskiego, „Babki“ Reyznera i Wygrzywalskiego, „Memento vivere!“ oraz rzeźby Glicensteina („Cyrce“) i Madejskiego. Do tych rzeczy dawniejszych, z których kilka figuruje już w Salonie po raz trzeci, przyłączają się nazwiska następujące: Andrychiewicz, Chełmiński, Gramatyka, Holzmüller, Klepiński, Olesiński, Pająkówna, Perdzyński, Piotrowski M., Pociecha, Reyzner, Rybkowski, Skwirczyński, Sozański, Szczepański, Szerner, Tondos i Wein. Po za kilkoma obrazami dobrymi, trudno o reszcie powiedzieć coś pochlebnego, w każdym razie nie ma tu ani jednej rzeczy wybitnej, ogólny poziom zaś stoi bardzo nisko. Najlepiej przedstawia się jeszcze młody warszawianin („Portret własny“, „Fałszywe (?) blaski“, „Nad Sekwaną“, „Lato“ i „Łan kartofli“). Andrychiewicz, wykazujący niemałą już rutynę i dosyć smaku. Krajobrazy Gramatyki, Pociechy, Tondosa, są dla tych trzech artystów tak typowe, że choć niezgorsze, żadnego zgoła nie przedstawiają interesu. Tak samo „kunsthändlerska“ produkcja Chełmińskiego („ks. Józef“ i „Na biwaku“), jak również obrazki Szernera i uporczywie „kossakującego“ Holzmüllera. Wiele rzeczy, jak „Polowanie“ Perdzyńskiego, „Zadymka“ M. Piotrowskiego, „Na pastwisku“ Weina i t. p., usuwa się z pod wszelkiej krytyki. Przypuszczamy, że jest to wystawa tymczasowa, po której nastąpi inna, godniej pod rubrykę sztuki podciągnąć się dająca. *A. C.*

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.